



Mirosław Darecki
NA ŚCIEŻKACH POLSKICH KOMANDOSÓW (II)
ACHNACARRY: POT I ŁZY

Główny ośrodek treningowy brytyjskich komandosów, Comando Depot, mieścił się w Achnacarry, w północnej Szkocji. Został zorganizowany w grudniu 1941 r. w Achnacarry Castle (i na przyległych terenach) – rodowej siedzibie Sir Donalda Camerona of Lochiel, głowy klanu Cameron. Hilary St. G. Sanders tak opisuje w książce „The Green Beret” tamtejszą scenerię: „Zamek stał w samotnej dolinie, około 14 mil od Fort William, w samym sercu Highlandów. Tutaj, w dzikim pejzażu, wśród bagien i jezior, przy nieustannie padającym deszczu, bez względu na ostre, zimowe mrozy, prowadzony był podstawowy trening komandosów. Trwał on dwanaście tygodni, właściwie bez przerwy.” (Wszystkie tłum. z angielskiego - MD.).

Komendantem ośrodka był prawie od chwili jego założenia aż do końca wojny podpułkownik Charles Vaughan. Ten silnie zbudowany, o mięsistej twarzy, o przenikliwym spojrzeniu oficer, był poprzednio zastępcą dowódcy 4 Commando. W wojsku służył od prostego szeregowca, a kiedy obejmował w „posiadanie” Achnacarry, miał już za sobą 28 lat służby w doborowych brytyjskich jednostkach, m. in. w słynnych Coldstream Guards. Pisze o nim Peter Young, że „wiedział, czego chce i wiedział również jak to osiągnąć”. Trzymał swoich podopiecznych żelazną ręką, był bezwzględny w wypadku przewinień i przekroczeń obozowego regulaminu, ale też cieszył się powszechnym szacunkiem a nawet uwielbieniem, bo serce miał dobre, a poza tym cechowało go wielkie poczucie humoru. Komandosi obdarzyli go wieloma przydomkami. Nazywano, więc Vaughana żartobliwie Wilkiem z Badenoch, Rommlem Północy, ale jemu samemu najbardziej chyba przypadło do gustu przezwisko - Laird of Achnacarry (Dziedzic na Achnacarry).

Przez ręce Vaughana przeszło w ośrodku treningowym około 25 tysięcy komandosów. Byli wśród nich nie tylko Brytyjczycy, ale i wielu cudzoziemców: komandosi amerykańscy tzw. US Rangers, Belgowie, Holendrzy, Francuzi, Norwegowie, Polacy, Węgrzy, Jugosłowianie. Chociaż podczas ćwiczeń używano tutaj ostrej amunicji, w całej historii Achnacarry, w ciągu trzech lat zdarzyło się tylko 40 śmiertelnych wypadków. Działo tu

swoiste sprzężenie zwrotne: żołnierz wykonujący zadanie pod kulami i wśród pękających granatów zmuszony był do nauczenia się wyjątkowej ostrożności i precyzji w działaniu; z drugiej strony - wyrabiał w sobie ogromne poczucie odpowiedzialności względem kolegów. W Achnacarry bezustannie się biegało; pokonywało wymyślne tory przeszkód, zdobywało okoliczne wzgórza, przekraczało rwące potoki. Do tego prawie bezustannie lał deszcz. Jednym z najtrudniejszych ćwiczeń był tzw. „Death Ride” (śmiertelny rajd) - zjazd na linie przerzuconej na znacznej wysokości nad rzeką Arkaig. Odbywało się to na dodatek wśród huku rzucanych zewsząd do wody petard. Jediną pomocą w korzystaniu z tej „napowietrznej kolejki” były indywidualne liny, tzw. toggle-rope’y wchodzące w skład wyposażenia każdego komandosa.

Ppłk Vaughan miał dwie podstawowe zasady, którymi się kierował: wierzył, że żołnierz może pokonać odległość 7 mil (ok. 11 km) w ciągu godziny, jeżeli tego naprawdę bardzo chce. Po drugie: każdy zatrudniony przez niego instruktor musi być człowiekiem wyjątkowym, przede wszystkim - urodzonym przywódcą. W opracowanym w Achnacarry treningu komandosi musieli m. in. umieć strzelać z każdej pozycji, walczyć na noże i na pięści, znać chwyt ju-jitsu, znać wspinaczkę wysokogórską, potrafić poruszać się bezszelestnie w nocy i w dzień, i w ogóle posiadać najwyższą sprawność fizyczną oraz umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji. Poza tym, już po opuszczeniu Achnacarry komandosi przechodzili cały szereg innych ćwiczeń w brytyjskich bazach wojskowych, przede wszystkim morskich. Nie ważne było, o której godzinie oddział wrócił z ćwiczeń. Jeżeli nawet zdarzyło się to o 6-tej rano, to o 7-ej miał już stać na porannym apelu gotowy do dalszych zajęć. Przy tym wszystkim komandosa miały cechować: „odwaga i inicjatywa, koleżeństwo, prawdomówność, dbałość o czystość i wygląd zewnętrzny.” Dbano o to, aby żołnierze dobierali się „stałymi parami”, żeby łączyły takich dwóch silne więzy przyjaźni. Dawało to możliwość doskonałego porozumienia i uzupełnianiu się w walce, a przede wszystkim przy tzw. „cichej robocie” - prawie bez używania słów, na wycucie. Ważnym punktem szkolenia była orientacja w terenie, znajdowanie drogi do oddziału. Komandosów wywożono nieraz daleko w nieznanym kierunku i pozostawiano, bez groszu przy duszy. W określonym czasie żołnierz, musiał się stawić, nie ważne jakim sposobem, na miejscu zbiórki. Jeden z żołnierzy II Commando wslawił się w tym względzie przebyciem w ciągu kilku godzin 400 kilometrów drogi dzielącej Haifę od Ismaili w Egipcie, „pożyczając” sobie kolejno kilka samochodów. Zyskał pochwałę dowództwa; gdyby został schwytany na „gorącym uczynku”, otrzymałby naganę. Za to, że dał się złapać...

Vaughana nigdy nie opuszczało poczucie humoru. Kiedy US Rangers po powrocie do Stanów Zjednoczonych donosili mu, że w tworzonych właśnie u nich ośrodkach treningowych warunki są trudniejsze, bo rzeki, nad którymi przebiega trasa „Śmiertelnego

rajdu”, roją się od aligatorów, nie speszony Vaughan odpisał, iż właśnie ostatnio w Achnacarry pojawił się słynny potwór z Loch Ness, który czatuje w rzece Akraig, pod linią napowietrznej kolejki na... świeże, ludzkie mięso. Czasami ten humor Dziedzica na Achnacarry stawał się na tyle wojskowo rubaszny, co i dość makabryczny, choć może zaprawiony zdrową dozą sceptycyzmu; kiedy komandosi opuszczali jego ośrodek przepełnieni marzeniami o przyszłych, bohaterskich czynach i niezwykłych akcjach, Vaughan żegnał ich słowami: „Niektórzy z was zostaną ranni. Prawdopodobnie - ciężko ranni. Być może stracą nogę lub rękę. Ale powiadam wam: nie martwcie się. Znajdziecie wszak pomoc i opiekę... (Tu następowała dramatyczna pauza). Tak. Tutaj, w Achnacarry, zawsze znajdzie się dla was zajęcie.” (Peter Young: „Commando”).

Samodzielna kompania polskich komandosów zorganizowana na rozkaz Naczelnego Wodza w końcu września 1942 r., a wchodząca w skład 10 Międzyalianckiego Commanda. jako 6-th Troop of 10-th Inter Allied Commando, przybyła do Achnacarry 19 listopada 1942 r. Na przeszkolenie zostało skierowanych 81 oficerów i szeregowych, prawie cały stan utworzonej niedawno kompanii. Wyładowali się o 6.30 rano na stacji kolejowej Spean Bridge, skąd do ośrodka treningowego było jeszcze 11 kilometrów. Tak jak wszyscy komandosi musieli tę odległość pokonać forsownym marszem, dźwigając na grzbiecie całe oporządzenie i bagaże. Tak wyglądało zawsze pierwsze ćwiczenie, wymyślone przez ppłk, Vaughana.

Samodzielna Kompania Komandosów zawiązywała się w szkockim mieście Cupar, stolicy hrabstwa Fife, w znacznym oparciu o kadre oficerską i ochotników ze stacjonującego tam polskiego 2 batalionu grenadierów „Kratkowane lwiątko”, zwanego tak od sylwetki lwa na kratkowanym polu nawiązującym do szkockiego „tartanu”, którą to oznakę nosili grenadierzy na furazerkach. Batalion przejął tradycję oraz sztandar 2 pułku grenadierów wielkopolskich walczącego na polach Francji w 1940 r. Obecnie dowodził batalionem ppłk dypl. Bronisław Chruściel. Jednostka wchodziła w skład 1 Samodzielnej Brygady Strzelców pod dowództwem gen. Bronisława Ducha. „Kratkowane lwiątko” wydały ze swych szeregów licznych „cichociemnych”, spadochroniarzy gen. Sosabowskiego, a teraz zasiliły znacznie szeregi organizujących się komandosów.

Etat kompanii został określony na 5 oficerów i 81 szeregowych, na dowódcę wyznaczono Władysława Smrokowskiego. Już 20 września rozpoczął się napływ ochotników; dowództwo i kancelaria mieściły się w kościele S. John's Church przy ul. Kirk Vind w Cupar. Kronikę kompanii zaczęto spisywać w trzy dni później, 23 września 1942 r.

Dowódca, kpt. Władysław Smrokowski, jak przystało na oficera komandosów, był człowiekiem nieprzeciętnym. Liczył dopiero 31 lat, a miał za sobą szmat służby wojskowej oraz przygody nadające się na materiał do sensacyjnej powieści. Urodził się w 1910 r. na

Orawie, gimnazjum im. Sienkiewicza skończył w Krakowie. Następnie, w 1932 r. ukończył zawodową podchorążówkę piechoty w Komorowie, otrzymując pierwszą gwiazdkę. Służył szereg lat w 3 pułku strzelców podhalańskich, potem w 4 pułku strzelców podhalańskich prowadził zajęcia na Dywizyjnym Kursie Podchorążych. I również w szeregach 4 pułku wyruszył w 1939 r. na front. W przeciwnatarciu pułku pod Janowem odznaczył się dzielnością. Jak wielu polskich żołnierzy przedostał się po klęsce wrześniowej na Węgry i następnie do Francji, gdzie znalazł się w szeregach I Dywizji Grenadierów. Ledwie zasklepiła mu się ciężka rana odniesiona w bojach, przedziera się, jeszcze w 1940 r., przez Pireneje do Hiszpanii. Via Gibraltar przedostaje się do Anglii. Stąd, w składzie Misji Werbunkowej gen. Duchy wyjeżdża do Kanady. W 1942 r. Smrokowski jest już znowu w Wielkiej Brytanii; pełni służbę, jako dowódca 4 kompanii w 2 Baonie Grenadierów „Kratkowane lwiątko”. Wkrótce zasłynie, jako dzielny dowódca polskich komandosów, a z wojny wyjdzie udekorowany szeregiem wysokich odznaczeń: Złotym oraz Srebrnym Krzyżem „Virtuti Militari”, Krzyżem Walecznych, brytyjskim Militari Cross i francuskim Croix de Guerre. Przez swoich podkomendnych będzie ciepło i z szacunkiem nazywany po prostu „Wodzem”. („WTK” nr 1, 1970 r.).

Zastępcą d-cy kompanii został kpt. Czesław Ciechoński, który po kilku miesiącach odszedł do Pierwszej Brygady Spadochronowej. Jego stanowisko objął wówczas por. Stanisław Wołoszowski -znajdujący się zresztą w oddziale od samego początku - ex-kawalezysta bodajże z 1 pułku strzelców konnych, doskonały jeździec, członek grupy jeździeckiej, która miała reprezentować polskie barwy narodowe podczas igrzysk olimpijskich mających się odbyć w 1940 r. Pierwszym plutonem Samodzielnej Kompanii Komandosów dowodził ppor. Andrzej Czyński, drugim - por. Stefan Zalewski; a plutonem dowodzenia ppor. Maciej Zajązkowski, z wykształcenia biolog, wielbiciel gór, współpracownik wielu przedwojennych pism fachowych takich jak „Taternik”, „Wierchy”, „Las polski”, człowiek obdarzony, dużą pasją pisarską, późniejszy wieloletni kronikarz i orędownik historii komandosów.

Było więc sześciu oficerów, o nie pięciu, jak przewidywał etat; również liczba ich podkomendnych została przekroczone: kompania w chwili opuszczenia Cuper liczyła 88 szeregowców i podoficerów. W tym aż 17 to byli podoficerowie i aspiranci.

9 października 1942 r. kompania wyjechała do Walii, gdzie zgrupowane było 10-th Inter Allied Commando. Ale zanim to nastąpiło, 25 września, odbył się w kasynie oficerskim 2 Baonu pożegnalny obiad dla tych wszystkich oficerów i podchorążych, którzy mieli odejść wkrótce do różnych formacji.

„Gdy 9 października 1942 r. w zastępstwie ówczesnego dowódcy 1 Samodzielnej Brygady Strzelców zegnałem odjeżdżającą Kompanię na stacji kolejowej - pisał po latach na

łamach wychodzącej w Anglii „Bellony” gen K. Glabisz - byłem zbudowany jej prezentacją wojskową, ale nieco zaniepokojony stosunkowo dużym procentem młodych i raczej wątłych chłopców. Oczy ich zdawały się jednak mówić, że wola i zapał są ważniejsze niż szerokie bary i atletyczne mięśnie, które odpowiednia zaprawa wyrobić może. Tak też było. Olbrzymia większość wyjeżdżających sprostała wszystkim zadaniom z nawiązką.”

10 października Samodzielna Kompania wylądowała się w nadmorskiej wiosce Fairbourne leżącej w Północnej Walii, w ówczesnym hrabstwie Merionethshire. Na dworcu czekał już dowódca 10-th Inter Allied Commando ppłk. Dudley S. Lister. Towarzyszyli mu: zastępca d-cy mjr P Laycock oraz adiutant, kpt. J. Clark. Commando Międzyalianckie powstało w styczniu 1942 r. i składało się początkowo z kompanii francuskiej, holenderskiej i belgijskiej. Potem doszli inni, m. in. Polacy i Norwegowie, a także, nieliczni Jugosłowianie. Polska kompania otrzymała, jak już wiadomo, nr 6. Najbardziej „egzotyczna” w tym towarzystwie była bezsprzecznie kompania oznaczona numerem 3, zwana też „brytyjską mieszaną” lub „X”-Troop. Pod dowództwem Brytyjczyka, kpt. Hilton-Jonesa służyli tutaj głównie Niemcy i Austriacy - zdeklarowani antyfaszyści. Było też tam trochę Węgrów i Czechów. Wszyscy oni mówili doskonale po niemiecku, przeznaczeni byli do specjalnych zadań po inwazji na kontynent, wszyscy też otrzymali fałszywe nazwiska szkockie lub angielskie, zmyślone metryki, urodzenia i życiorysy. Roilo się tom od „Lene’ów”, „Hamiltonów” i „Brownów”. Dowództwo I. A. Commando mieściło się w miejscowości Harlech, a poszczególne kompanie rozłożyły się w okolicznych wsiach i miasteczkach. Mieszanina różnych języków, sposobów bycia, noszenia munduru, musztry itp. była nie lada przeszkoda dla dowództwa, które musiało jednak jakoś zapanować nad tą komandoską wieżą Babel.

„Wśród nich - piszę H. Saunders - Polacy byli chyba najbardziej weseli (...) Mieli oni również zwyczaj okazywania serdeczności dla odwiedzających ich ludzi przez podrzucanie w górę a następnie chwywania ich w locie. Na pierwszej potańcówce, jaką zorganizowali po swym przybyciu, uhonorowali w taki właśnie sposób płk. Listera i kpt. Clarka. Ku radości wszystkich, ten ostatni, usiłował - wyleciawszy wysoko w powietrze - objąć rękami kolana, aby w ten sposób, utrzymać swój kilt (szkocką spódniczkę - MD) na właściwym miejscu, licującym z jego stopniem i stanowiskiem”.

A jak zobaczyli Fairbourne nasi chłopcy? Otóż, jak to często bywało, przez pryzmat odległego, rodzinnego kraju. Na pierwszych stronach kroniki kompanijnej znajduje się taki oto wpis: „Fairbourn leży w maleńkiej zatoce u podnóża gór skalistych, ale tak pięknych, że ludzie pobudowali sobie na wysokich zboczach zagrody, wijle i hotele. Hen, daleko w górach bielą się lub czernią jakieś chaty. Rzekłbyś, że to góralskie. Ale podejdź bliżej, a zobaczysz,

że to rezydencje... W tej niedużej osadzie kościółek również jest, zbudowany na skale, szkoda, że nie katolicki.”

Po miesiącu pobytu w Fairbourne, polska 6-th Troop wraz z „mieszaną” „X” Troop oraz 5 kompanią norweską, wyjechały na trzytygodniowy trening do Achnacarry. Tam dopiero mieli być ostatecznie pasowani na komandosów.

W papierach osobistych poległego 17 lipca 1944 r. w natarciu na Case Nouve we Włoszech polskiego komandosa, 21-letniego kpr. Konrada Braulińskiego, kawalera „Virtuti Militari” i dwukrotnie odznaczonego Krzyżem Walecznych, znaleziono fragment wspomnienia o Achnacarry. Wydrukowano go w marcu 1971 r. w kombatanckim piśmie „Wiadomości – Wypad” wydawanym systemem powielaczowym w Edynburgu przez byłych żołnierzy 2 Baonu Grenadierów oraz komandosów. W Polsce wspomnienie to ukazuje się teraz po raz pierwszy: „(...)Jechaliśmy do Achnacarry. Ach, ileż ta krótka nazwa nam mówi, choć przecież każdemu indywidualnie mówi co innego (...) wszystkim jednak dźwięk tego słowa wywołuje dreszcze, z którymi występują krople potu. Tego potu, który tak obficie wydobywał się z nas przez okrągłe trzy tygodnie, bez względu na święta kościelne czy narodowe. (...) - Jak będzie wyglądał ten trening? - Pytaliśmy jeden drugiego. Położenie obozu wydawało się coś o ten mówić. Znajdował się w dolinie przeciętej wartką rzeką, która uchodziła do drugiego jeziora, dookoła piętrzyły się góry. Na terenie całego obozu błoto było niesamowite (...) Drzewa były tu połączone grubymi linami na kształt jakiejś śmiesznej pajęczyny (..) Wszystko to robiło wrażenie „małpiego gaju” ostatniej kategorii. Poza tym znajdowały się inne niespodzianki w postaci torów przeszkód, które znaleźliśmy dotąd tylko z opowiadania a które jutro miały stać się ponurą rzeczywistością. (...) Słyszeliśmy dotąd, że na jednej z przeszkód czterech utopiło się, na innej Norweg wpadł do błota tak głęboko, że musiano go odkopywać. (...) Pierwszym, na który poszliśmy był względnie łatwy i krótki tor Nr I.

Ciągnął się około kilometra i polegał na wdrapaniu się z bronią i w oporządzeniu po ukośnie leżącym pniaku, następnie skok przez bajorko, później drewniana drabinka, z której wierzchołka skakało się do błota i zaraz potem lina, po której należało się spuścić na dno skalistego jaru, aby zaraz wdrapać się na przeciwległą ścianę już bez liny i bied pod błotnistą górę, strzelając do ukazujących się figurek (...) U niektórych były chwile załamania się, zwłaszcza gdy wypadło rozpoczynać po raz piąty czy szósty. Niejeden z nas klął na chwilę, kiedy przyszedł na świat, ale zaciskało się zęby – wiedzieliśmy przecież, że wytrzymać musimy.

Najgorszy był pierwszy tydzień, wielu było u szczytu wyczerpania, wielu chciało zrezygnować z zaszczytnej miana komandosa. W chwilach słabości pomagał jeden drugiemu, dawaliśmy sobie zastrzyki duchowe, uzupełnialiśmy się jak się dało. Achnacarry

było selekcją charakterów - każdy zdawał sobie z tego sprawę, dawał, więc z siebie maksimum. Trudno zapewne będzie tym, którzy tam nie byli, zrozumieć jaką walkę wewnętrzną niejeden z nas prowadził, gdy pozostawały ostatnie dwie mile z 12-milowego marszobiegu, kiedy brakło w piersiach tchu, ślina wysychała (...) ręka mdlała pod ciężarem broni - (...) Człowiek biegł wtedy ostatkiem sił pchany potężną mocą ambicji, nogi, których w takich momentach już nie czuł szły same jak maszyna, niemal bezwładnie. Wbiegliśmy na boisko, pada komenda: „Stój! Zdjąć rysz tunek rozebrać się. Za minutę zbiórka do gimnastyki!” Zdejmujemy ze zdrętwiałych członków oporządzenie, choć w głowie wszystko się kręci, oczy zachodzą mgłą. Słuch odmawia posłuszeństwa. Robimy to wszystko bez szmeru, bez chwili namysłu...” (Tutaj rękopis Konrada Braulińskiego urywa się)

Wyjeżdżali 12 grudnia 1942 r. z powrotem do swej bazy w Fairbourne. Czekał tam na nich następny etap szkolenia a potem...potem może jakaś podróż, jakieś pierwsze, samodzielne zadanie. Pewnie właśnie wtedy w umyśle jednego z nich zaczęły się rodzić słowo piosenki:

*Pozostały za nami w dali
Szkockie deszcze, szkockie mgły...
Każdy z nas się do czynu pali,
Każdy ziścić chce swe sny.
Żegnaj słodka Szkocjo
I beztroski życia tryb...
Teraz masz znój, trudy i emocję -
Commandosi - to my!*

Na peronie stał samotnie Wilk z Badenoch, Rommel Północy, Laird of Achnacarry i błogosławił ich po swojemu na drogę...

Pierwodruk: „Kamena”, 1978, nr 25, s. 6-7.